

## W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ POWSTANIA LEGIONÓW

(10 sierpnia 1924 r.)

Dnia 10 sierpnia 1924 r. odbył się w Lublinie doroczny, trzeci z kolei zjazd Legionistów. Tego dnia popołudniu w sali teatru «Corso» wygłosił Piłsudski niżej przytoczony odczyt, w którym pragnął uwypuklić następujące fakty: Legioniści wbrew woli olbrzymiej większości społeczeństwa polskiego poszli na próbę stworzenia reprezentacji Polski w wojnie światowej przez własnych żołnierzy, dowodzonych przez ich własnego wodza. Próba stworzenia dobrego żołnierza udała się. Natomiast w walce o zdobycie swego własnego wodza nie osiągnięto pożądanego skutku zarówno wskutek oporu zaborców jak i słabego poparcia w tej walce ze strony społeczeństwa polskiego.

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajduje się tekst tego przemówienia, pisany ręką Marszałkowej Piłsudskiej, której autor podyktował swą mowę po jej wygłoszeniu. W tekście tym są liczne własnoręczne poprawki i wstawki Piłsudskiego.

Odczyt ten został wydany jako osobna broszura pod tytułem: «W dziesiątą rocznicę powstania Legionów. (Przemówienie, wygłoszone dnia 10 sierpnia 1924 na Zjeździe Legionistów w Lublinie)». Warszawa, 1924. Towarzystwo Wydawnicze «Ignis». E. Wende i S-ka. Str. 31. Tekst niniejszy jest przedrukiem tej broszury.

Szanowne panie i szanowni panowie!

Dziesięć lat! Dziesięcioletni jubileusz! W Brygadzie, którą dowodziłem, do jubileuszów spieszono. Obchodzono tam rocznicę 6-go sierpnia nie raz, lecz dwa razy do roku. Co pół roku musiała być uroczystość, przy której wymagano ode mnie mowy. Według więc I Brygady mielibyśmy już dwudziestą rocznicę, nie dziesiątą. I nie mogę nie stwierdzić, że ten pierwszy brygadowy zwyczaj ma głębokie podstawy. Sądzę bowiem, że śmiało możnaby było ilość rocznic jeszcze powiększyć, by dojść co najmniej do półwiecza, to znaczy okresu, w którym jedno pokolenie w swojej większości wychodzi za światy, by dać miejsce nowemu pokoleniu i nowemu życiu.

Niewątpliwie, moi panowie, okres czasu, który przeżyliśmy w przeciągu ubiegłych lat dziesięciu, jest tak bogaty w zmiany, że żaden człowiek nie mógł nie ulec równie głębokim przemianom wszystkiego, co jest jego jaźnią. Każdy ma swe codzienne życie inne, niż dziesięć lat temu. I gdy uprzytomnimy sobie, ile jest tych zupełnie innych myśli i zupełnie innych czynności, które wypełniają całe nasze dzisiejsze życie,

to możemy zupełnie spokojnie i śmiało powiedzieć, że mamy teraz do czynienia z całkiem innymi osobami, niż te, które nosiły ongiś to samo imię i to samo nazwisko.

Cała szarzyzna poprzedniego życia codziennego jest dla każdego człowieka inną, niż dziesięć, jedenaste, piętnaste lat temu. O każdej z drobnych spraw, z których składa się przecież życie, inaczej się dziś myśli, inaczej ją załatwia. Znikły dawne kłopoty, związane z najmniejszą choćby podróżą, inaczej się dziś myśli o zajęciu codziennym, inaczej o rozkoszach zabawy. Trwogi zaś i bóle, radości i szaty, inny «timbre»<sup>1)</sup> mając, rylcem swoim inaczej kształtują duszę człowieka, czyniąc go niepodobnym do siebie samego z czasów przedwojennych. Fizycznie może jesteśmy ci sami, lecz jako osobniki socjalne, będące w związku stałym i koniecznym z innymi ludźmi, zmieniliśmy się tak dalece, że mowy być nie może o robieniu porównań nas z tymi samymi osobnikami fizycznymi z owych przedkatastrofalnych czasów. I jeśli to mówię, szanowne panie i szanowni panowie, to nie dlatego, żebym każdego zwyczajnie I Brygady chciał przed wami bronić lub go uzasadniać, lecz dlatego, by zdobyć prawo spokojnej oceny i spokojnego stosunku do wszystkiego, co się ongiś, temu lat dziesięć fizycznych, a co najmniej z pięćdziesiąt lat moralnych, działo i widziało.

Pokolenie całe minęło i odeszło w zaświaty, mamy życie nowe, mamy życie inne. Więc niech nie brzmi paradoksalnie dla pań i panów, gdy żądam i proszę o spokojną ocenę grzechów i zasług, śmieszności i psot naszych — że tak powiem — ojców i matek, dziadów i babek. Można przecież spokojnie odnieść się do tej epoki, nie szukając koniecznie upiększenia sobą samym głupstw czy niecnot swoich przodków.

Jesteśmy całkiem inni i przykładów po temu nie brak. Ja, np., w Polsce osiwiiałem, gdy niegdyś rówieśnicy i koledzy zazdrościli mi płowej czupryny, nie mającej siwego włosa. A gdy sięgnę do przedpotopowego i przedkatastrofalnego zasięgu kulturalnego i wyciągnę stamtąd jakieś znalezisko, np. — mamuta, to nie mogę tego ponurego włosatego monstrum, opędzającego się długim, śmiesznym ogonem od mnóstwa napaśujących owadów, porównać z młodym słońiatkiem, igrającym w słońcu swobody Polski, — chociażby ten mamut i to małe słońiatko toż samo nosiły imię. Albo, szanowne panie i szanowni panowie, — inne znalezisko przedpotopowe: poczwarny potworek ichtiozaurowy! Ongiś siedział na podkur-

<sup>1)</sup> brzmienie, ton.

czonym pod siebie, długim jaszczurczym ogonie, z wdzięcznie kangurowato w pałąk wygiętym grzbietem, nastawionymi lisimi uszkami i chytrze biegającymi oczkami. Czy można go poznać i uznać za to samo stworzenie, gdy obecnie jaszczurowatym ogonem, jak sztandarem, w górze wywija, grzbiet po wielkopańsku prostuje, a na ziemię naszą z bezzębnej paszczy krokodylej siarkowodór zieje?

Głębokie te zmiany, któreśmy przeżyli, sięgają tak daleko, że staliśmy się nowymi ludźmi. Wielkość zmian nie odpowiada wcale owemu względnie krótkiemu okresowi czasu, który nas dzieli realnie od życia tych — według mego określenia — ojców czy dziadów naszych. Pochodzi to stąd, że pomiędzy nami a między rokiem 1914 istniała katastrofa, istniał potop z tak szybko postępującymi, nieuchronnymi i koniecznymi przeżyciami, że o powolnej ewolucji mowy być nie mogło. Gdy w procesach geologicznych ślimaczek ze ślimaczkiem gdzieś się zlepwszy, w wiek potem wytworzą cał jakiegoś ładu, gdy drobna kruszyna piasku gdzieś z jakimś startym do mialu kamyczkiem zczepiona, w ciągu lat i wieków wytwarza u ujścia rzek małą wysepkę, jest to proces ewolucyjnej pracy przyrody, za której skutkami człowiek nie nadaża całym swoim życiem. Gdy zaś ziemia w jakiejś potwornej konwulsji wewnątrz swe otworzy, wchłaniając kilometry kwadratowe ziemi, potem i pracą ludzką zmienionej w ogrody i osiedla; gdy we wstrząszeniach na powierzchnię mórz wyrzuci nagle wielkie wyspy; gdy zmieni łańcuchy gór, łamiąc i niszcząc jedne, a tworząc nowe, — mamy proces katastrof. Wtedy życie ludzkie na miejscach dotkniętych katastrofą skraca się do jednej chwili, tak, że wczoraj jest całkiem odmienne od dzisiaj. Dwa te procesy ewolucji i katastrofy nie mogą być ze sobą porównywane. Inaczej rzeźbią one nasz padół płaczu, inaczej każą ludziom czas liczyć.

Mieliśmy w ostatnim dziesięcioleciu katastrofę. Katastrofą tą była wojna europejska. Szła ona na Polskę ówczesną jakimś piorunowym pędem, w jakichś lamparcich podskokach, oszalałając szybkością swego rozwoju i nieubłaganą koniecznością wszystkich ludzi. Ileż wojen wypowiedziały państwa państwom! Portugalia ogłaszała wojnę Niemcom. Niemcy stawiały ultimatum na prawo i na lewo. Austria zaczynała wojnę z Serbią, Rosja z Austrią i z Niemcami, Francja odrzucała ultimatum, Anglia je stawiała. Deklaracje wojen zajmowały w dziennikach ówczesnych całe szpalty.

Trzeba stwierdzić, że Polska ówczesna, to znaczy ci Polacy, którzy w owym czasie żyli, wojny nie chcieli i wojny nie

wywoływali. Dobrze teraz od czasu do czasu nagle zadeklamować, że Polacy, zgodnie z wolą Mickiewicza, modlili się o wojnę światową, ale to przecież był tylko Mickiewicz, który, jak wiadomo, do pokolenia 1914 roku wcale nie należał! Pokolenie ówczesne, zgodnie ze wszystkimi świadectwami, do żadnego ryzykanctwa skłonne nie było i gdyby politycy, rzucający się w wir wojny świata, zechcieli posłuchać sądów i opinii ówczesnych Polaków, trwożliwie rozmawiających w kawiarniach i domach, to na pewno nie byłoby wojny.

Polska więc, stwierdzam to raz jeszcze, wojny nie chciała i wojny nie wywoływała. Więcej nawet! W mnóstwie deklaracji, składanych z powodu wojny, w całym szeregu mów odpowiedzialnych kierowników państw, w nieskończenie wielkiej ilości artykułów w pismach całego świata, w rozmowach i dyskusjach o tej piorunowo na ludzi następującej katastrofie mowa była o wszystkim. Mówiono więc o nieprzedawnionych prawach do tej czy innej prowincji sąsiada, o odwiecznych a złośliwych wrogach narodu czy państwa, o konieczności posiadania miejsca pod słońcem, o obrazach «prestige'u»<sup>1)</sup>, o mordach i zabójstwach bez kary, o gwarancjach pokoju czy bezpieczeństwa. Mowa była o wszystkim, o wszystkich możliwych motywach czy powodach katastrofy, lecz o Polsce, czy jej prawach i interesach, czy miejscu pod słońcem — mowy nie było wcale. Stwierdzić to należy z całą stanowczością, gdyż z tego wynikały wielorakie następstwa. Dopiero znacznie później, gdy wojna już wielkie szczyby w sile wszystkich państw zrobiła, zdarzył się fakt, że Ameryka, przystępując do wojny, zgłosiła deklarację, w której jeden z jej czternastu punktów żądał Polski, jako państwa, mającego mieć dostęp do morza<sup>2)</sup>. Na początku jednak katastrofy, w r. 1914, nikt o Polskę wojować nie chciał.

Polska więc wojny nie szukała, wojny nie chciała, wojny nie wywoływała — wojna, przez innych toczona, nie miała żadnych, choćby najmniejszych zadań, dotyczących się Polski. Polska miała być jedynie teatrem wojny. Z tego zaś faktu wynikły różne następstwa, do których, między innymi, należy i początek Legionów.

Nim do wyjaśnienia znaczenia teatru wojny przystąpię, zatrzymam się na decyzji i postanowieniach nie Polski, gdyż

<sup>1)</sup> Znaczenia, autorytetu, godności.

<sup>2)</sup> Mowa o 13-ym punkcie deklaracji (zwanej: «14 punktów») prezydenta St. Zj. Am. Płn. Woodrowa Wilsona, która zawierała zasadnicze podstawy programu pokojowego w stosunku do Niemiec i przedstawiona była przez Wilsona na Kongresie St. Zj. dn. 8 stycznia 1918 r.

ta jako całość do decyzji powołana nie była, lecz ówczesnych Polaków. Polska w owych czasach, jak to wszystkim wiadomo, rozdarła była przez trzy państwa zaborcze: Rosję, Austrię i Niemcy, które właśnie przystępowały do orężnej rozprawy. Jeżeli weźmiemy ogół Polaków ówczesnych, to pomimo, iż żyli w całkiem odmiennych warunkach, pomimo, że w początkach tej z błyskawiczną szybkością postępującej wojny w żaden żywy sposób zmówić się nie mogli, to jednak decyzja wszystkich Polaków wypadła zdumiewająco jednakowo. Wszędzie zdecydowano poddać się losowi wojny i, oddawszy Bogu — co boskie, — to jest westchnienie, oddać cesarzowi, co cesarskie, — to jest życie i mienie. Nie chcę wcale wchodzić w to, jakimi były motywy, czy myśli, czy uczucia, czy sentymenty w owej chwili. Chcę jedynie stwierdzić fakt niezaprzeczony, że we wszystkich trzech częściach Polski mobilizacja sił państwowych, t. zn. zaborczych, względnie najzupełniej się powiodła. Fakt ten można najrozmaiciej tłumaczyć, najrozmaiciej upiększać lub ganić, z powodu niego cieszyć się czy boleć, — przejść jednak nad nim do porządku dziennego, twierdzić, że Polacy postąpili inaczej — niepodobna. Obojętnym jest również, czy ten lub ów Polak szedł w szeregach obcej armii z trwogą czy namiętnością, z wyrachowania jedynie czy z przekonania, zawsze w każdym z tych indywidualnych Polaków musiała być częśćka decyzji dla postępu tego a nie innego. Mogę więc śmiało twierdzić, że w ogóle Polacy zdecydowali nie opierać się prawom swego państwa zaborczego i służyć podczas wojny pod sztandarami, godłami i znakami obcych, zaborczych armij. Użyłszy w ten sposób państwu dla ich politycznych, niezwiązanych z Polską celów tego, czego państwa te wymagały, — żołnierza.

Danina ta stawała się dla Polaków specjalnie ciężką. Obciążała ją dodatkowe brzemię, z powodu którego ludzie szaleli prawie z rozpacz. Państwa zaborcze miały toczyć wojnę między sobą na polskim teatrze wojny — Polacy musieli być awangardą i toczyć wojnę od pierwszego momentu bratobójczą. Przemawiam w Lublinie, i na niedalekich stąd polach pierwsze krwawe i mordercze boje toczone były przez Polaków z Polakami. Z jednej strony więc — austriackiej — szły ku Lublinowi korpusy I i X, krakowski i przemyski, w których co najmniej 90% stanowili Polacy. Odwrotnie, z rosyjskiej strony, w obronie Lublina i jego okolic stawał XIV korpus rosyjski, z tej właśnie ziemi zmobilizowany. Na północy, ze strony niemieckiej, szedł korpus XVII gdański, zmobilizowany z dzisiejszego Pomorza, a przeznaczony do walki z korpusami ro-

syjskimi, mobilizowanymi w Warszawie, Płocku, Łomży, Grodnie i Wilnie. Ten mus bratobójczej walki następstwem był koniecznym i naturalnym oddania cesarzowi, co cesarskie, i poddania się losowi wojny, nie o Polskę prowadzonej. Podkreśla to silnie fakt, który zaznaczałem wyżej, że Polacy w ogóle nie szukali jakiegokolwiek innej decyzji, jak tej, która im była dana przez państwa zaborcze. I znowu powtórzę, że jest obojętnym dla samego faktu, jakie uczucia szarpały serce tego czy innego Polaka, gdy strzelał do swych zakordonowych braci na rozkaz swego zaborcy. Przecież nie można podejrzewać, by nasi bracia Wielkopolanie, zmobilizowani w V i VI rezerwowym korpusie poznańskim, z dumą i radością wkładali na głowy pikielhauby i, w ciasny mundur pruski odziani, szukać chcieli zwycięstwa nad Francuzami pod Verdun.

Stwierdziwszy ten fakt niezaprzeczalny, przechodzę do wyjaśnienia okoliczności, że Polska stać się musiała teatrem wojny. Każdy teatr wojny w każdym starciu orężnym nieść musi wielkie ofiary, lecz ma także i swoje beneficja. Jest to prawo wojny. Prawo, znane mi doskonale ze studiów nad wojną, znane również z doświadczenia, jakie zebrałem zarówno z wojny europejskiej, jak z naszej — polskiej. Znać trzeba dokładnie teatr wojny, gdyż daje to jedną z poważnych szans zwycięstwa. A usposobienie ludności w stosunku do wojsk, toczących wojnę, niemałe ma znaczenie, stwarza bowiem ułatwienia lub przeszkody dla żołnierzy i ich wodzów.

Polska miała być takim teatrem wojny. Widzieliśmy więc, jak w pierwszej chwili, gdy tylko wojna wybuchła, monarchowie wszystkich trzech państw zaborczych zapalali nagle wielką sympatią do naszego narodu, proklamując ją w specjalnych odezwach. Niewiele różniły się one zasadniczo pomiędzy sobą. Sędziwy monarcha ludów Austrii i Węgier, Franciszek Józef, w tych samych prawie słowach stwierdzał swoją ojcowską miłość dla Polaków, jak surowy monarcha niemiecki Wilhelm II i wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, który stanął na czele wojsk białego cara <sup>1)</sup>. Odezwaniami tymi, wyrażającymi uczucia i sympatie dla Polaków, starano się ubrać przykry nieraz przymus posłuszeństwa względem zaborców w jakieś chociażby skrawki piękniejszych i idealniejszych motywów. Poza tymi odezwami zastosowano do Polski zwykły repertuar środków, związanych z teatrem wojny. Więc najprzód terror w najszerszym tego słowa znaczeniu. Wszystko, co mogło być uznane za podejrzane, co bez wojny mogłoby żyć nadal spokojnie,

<sup>1)</sup> Por. t. V., s. 266.

uwięziono, by internować gdzieś w głębi państw, toczących wojnę. Wzmocniono, jak zawsze, prawa wojska w stosunku do ludności, zaostrzając kary za wszelkie występki, zakłócające działania wojskowe.

Skierowano też, jak zwykle, na teatr wojny strumień złota, by tam, gdzie nie wystarczy skrawek idealizmu czy strach, wzniecony terrorem wojny, spróbować zwykłego w takich wypadkach środka — przekupstwa. Złoto więc płynęło pod różnymi pozorami: czy w postaci wynagrodzenia za straty, dawanego hojniej pokornym, a odmawianego lub dawanego w małych kwotach obojętnym czy niepokornym; czy w postaci najrozmaitszych subsydiów pismom, instytucjom i towarzystwom; czy w tej najgorszej i najbrzydszej postaci — kupowania sobie ludzi jako szpiegów i informatorów w najrozmaitszych kwestiach i dla najrozmaitszych celów.

Oto zwykle ofiary i zwykle beneficja teatru wojny.

Bywają jednak i beneficja nadzwyczajne, związane albo z wpływowymi na teatrze wojny ludźmi, albo ze szczególnymi względami, które chce się brać w rachubę. Są to, że się tak wyrażę, beneficja specjalne. Do nich należy i to, co nazywamy teraz czynem legionowym. Człowiek, noszący to samo nazwisko, co ja, należał do rzędu ludzi wpływowych, mających w owe czasy szczególny, że tak powiem, kaprys. Stał on bowiem na czele niewielkiej zresztą garści ludzi, szerzących przekonanie, że Polska z poniżenia niewoli wyjść może jedynie za pomocą zbrojnego ruchu, korzystając z tego czy innego momentu. Straszono go więc z jednej strony zwykłym środkiem — zamknięciem wraz z przyjaciółmi w jakichś twierdzeniach czy obozach dla internowanych; z drugiej strony zgadzano się na próby tworzenia oddziałów polskich, z góry lekceważąc te poczynania. Zgoda ta była więc jednym ze środków udzielania wpływowym ludziom beneficjów specjalnych, których prawdopodobnie w innej postaci, nie tak krzyczącej, udzielano łaskawie ze strony wszystkich trzech zaborców. A ciekawy historyk pewnie w niedalekiej przyszłości odnajdzie dosyć dokumentów dla potwierdzenia tej prawdy.

W ten sposób powstał początek tego, co nazywamy obecnie czynem legionowym. Było to dla jednego z zaborców coś w rodzaju sposobu rozdawania beneficjów specjalnych, dla mnie zaś i tych, którzy za mną poszli, była to próba rozstrzygnięcia problemu, męczącego w owe czasy wielu Polaków, podczas gdy ogromnej większości naszego narodu był najzupełniej obcy. Narody i państwa, biorące udział w wojnie, jako swoją reprezentację czynną wysłały na plac boju wodzów i żołnierzy.

Wszyscy Polacy, jak to już mówiłem, pogodziwszy się z losem, wyrzekli się jej. Dali żołnierza pod obce, zaborcze znaki i godła i zwiększyli w ten sposób siłę reprezentacji obcych, zaborczych wodzów. My zaś, legionieści, rozstrzygnęliśmy tę sprawę inaczej. Daliśmy próbę reprezentowania na polu bitwy Polski, więc narodu bez państwa i rządu — tak, jak to czynili inni, to znaczy przez własnych wodzów i własnych żołnierzy.

Próba ta została zlekceważona przez wszystkich, skazana przez wszystkich z góry na nieudanie, przez wszystkich uznana za niemożliwą do wykonania. Jest zupełnie obojętnym dla mnie i dla moich wywodów, jak kto o tym sądził wtedy czy sądzi teraz, jakie kto o mnie czy o moich kolegach wydawał wtedy lub wydaje opinie. Jest obojętnym, czy ktoś za jakimś żulikiem Zamorskim<sup>1)</sup> powtarzał, iż prowadziła nas chęć rabunku i bandytyzmu, czy uważa nas wraz z innymi za płatnych agentów Wilhelma czy Franciszka Józefa, czy przypisywał nam wówczas lub przypisuje teraz szaleństwo i bezrozum, czy na moją siwiejącą głowę rzucał czy rzucić będzie przekleństwa za gubienie szlachetnej młodzieży, czy wreszcie w owe czasy sentymentalne ronił łzy nad ofiarami szlachetnych i zielonych głów młodych — jest to zawsze wszystko jedno dla historycznego faktu, że ja i legionieści postąpiliśmy w te czasy, gdy potop wojny zalewać zaczął naszą ziemię, inaczej, niż wszyscy Polacy. Niepodobna było sfalszować tego faktu, gdyż każdy z przyszłych historyków znaleźć musi dla tej chwili całe mnóstwo dokumentów historycznych w postaci rozkazów, raportów, opisów działań i czynności, zarówno moich, jak i moich kolegów z Legionów.

Jak już wspominałem, próbę tę zlekceważono ze wszystkich stron, uważano, że niemożliwa jest do wykonania i że wymaga co najmniej licznych i zasadniczych poprawek. Nawet przez wielu przyjaciół wystąpienia mego i legionistów rzecz uważana była za niepodobną do wiary i zasługiwała na lekkie wzruszanie ramionami. Uważano specjalnie jedną poprawkę za konieczną ze stanowiska, jak sądzono, rozumu, rozsądku i użyczenia powagi przedsięwzięciu. Sądzono, że jest rzeczą nieodzowną oddać całą pracę organizacyjną, mającą przekształcić oddziały strzeleckie w istotne wojsko, oficerom z armii austriackiej, inaczej przedsięwzięcie nie będzie miało autorytetu dla nikogo, nawet, jak mówiono, dla nas samych — legionistów.

Podkreślam więc i powtarzam raz jeszcze — gdy wojna

<sup>1)</sup> Por. t. VI., s. 132.

w 1914 r. wybuchła, Polacy we wszystkich trzech zaborach zdecydowali oddać Bogu — co boskie, cesarzowi — co cesarskie. Ja i legionieści postąpiliśmy inaczej, a bez względu, jak kto wtedy patrzył i jak teraz to widzi, zdecydowaliśmy spróbować, czy nie można dać naszemu narodowi bez państwa przedstawicielstwa wojennego w postaci wodza i żołnierza. Usiłowania te przyjęto albo zupełnie niechętnie, albo z niedowierzaniem, specjalnie jeśli chodzi o próbę zdobycia reprezentacji przez wodza. Chciano wybrać go z pomiędzy oficerów austriackich, chociażby dla dodania powagi i rozumu przedsięwzięciu.

Odrzuciłem od razu wraz z Brygadą, którą dowodziłem, wszelkie próby w kierunku obdarzania nas tą powagą i tym rozsądkiem.

Wobec powszechnego niechętnego i niedowierzającego do nas stosunku zapytać się godzi, czy nam, legionistom, próba ta się udała, czy zdołaliśmy choć w części swe zamiary wykonać i zrealizować. Nie chcę powtarzać myśli, wypowiedzianych w zeszłorocznym moim odczycie, wygłoszonym we Lwowie przy naszym dorocznym święcie. Powiem tylko, że armia austriacka, znając powszechne ku nam niedowierzanie, pospieszyła od razu wykorzystać szeroką bazę uczuć, istniejącą w Polsce w stosunku do nas, by wszelkimi sposobami nas skrepować, wszelkimi metodami nas pokory uczyć i wszelkimi drogami, neglżując nas, nam władzę narzucać. A jednak już w końcu r. 1914, za ledwie w trzy miesiące po rozpoczęciu przez nas t. zw. czynu legionowego, zostaliśmy postawieni na równi z normalnymi oddziałami wojska, i też same, co innym, poruczano nam zadania. Ba, nie chcę być dumnym, ani się chwalić, lecz w końcu października, po ciężkim boju, nazywanym przez nas pod Laskami <sup>1)</sup>, nie komu innemu, jak mnie i nam, powierzono najcięższą dla żołnierza służbę, służbę ariergardy, osłaniającej odwrót przed zwycięskim nieprzyjacielem. Po cóż negować te fakty lub je fałszować, gdy o tym szybkim awansie naszym — na równorzędnych z innymi żołnierzy — świadczą całe mnóstwo dokumentów w postaci raportów, rozkazów i relacyj różnych dywizyj, korpusów i armij.

Niewątpliwie wobec silnego przeciwdziałania zaborców, opierającego się, jak mówiłem, na niechęci lub niedowierzaniu nam naszych własnych rodaków, droga legionistów była trudna i żmudna. Szliśmy, zwolna torując sobie nadzwyczajnymi wysiłkami drogę ku postępowi, pozostawieni najczęściej tylko

<sup>1)</sup> Od 22—26 października 1914 r.

własnym siłom. I jeżeli w sprawie zdobycia reprezentacji przez żołnierza nie mogliśmy osiągnąć dostatecznej liczby, daliśmy w zamian szacunek dla jego tężyzny. O wodza prowadziliśmy walkę zaciętą i często zupełnie beznadziejną. Zmagania te, jak wiadomo, zakończyły się katastrofą dla legionistów i katastrofą dla tego, kogo na wodza ich wysuwano, t. zn. dla mnie. Zostałem aresztowany i wywieziony do twierdzy magdeburskiej, a Legionom złamano skrzydła i możliwość rozwoju.

Nie mówię tego, szanowne panie i szanowni panowie, w jakimś celu osobistym. Żądając od wszystkich, by umieli spokojnie się odnieść do dziejów naszych fizycznych osób z tej dalekiej moralnie przeszłości, mam ten sam spokój w stosunku do dziejów własnych. Podkreślam tylko z naciskiem, że w walce naszej o niezależnego wodza byli zaborcy właśnie najmniej ustępliwi, że posiadali w tej sprawie najsilniejsze poparcie polskiego społeczeństwa, które nawet wtedy, gdy popierało Legiony, szukało, jak gdyby naumyślnie, najbardziej zależnego, najbardziej związanego człowieka, aby mu oddać dowództwo nad nami. Bezwiednie przypominają mi się czasy już swobodnej Polski, gdy nieraz się zdawać mogło, że Polacy najbardziej cieszyliby się z możliwości osiągnięcia tego, aby na ich czele, a specjalnie na czele wojska, stał nie Polak, lecz człowiek, zależny od innego narodu lub będący pod rozkazami innego państwa czy armii. Widocznie jest to ściśle związane z charakterem narodowym.

Gdy teraz, po dziesięciu latach fizycznych, a pięćdziesięciu co najmniej latach moralnych, rozważam często próbę, czynioną przez nas w owe czasy, waham się w swojej konkluzji, jako historyk. Próba co do jakości żołnierza udała się niechybnie znakomicie. Udała się w tak dziwnie szybkim tempie, w tak niesłychanie krótkim czasie, że zaszczyt to przynosi wszystkim dowódcom mniejszym i większym, którzy tego dokonać potrafili. Lecz nie ma wątpliwości, że pod względem liczby siła naszej reprezentacji wojennej była nikła w porównaniu z liczbą Polaków. Próba zaś siły, by zdobyć reprezentację w postaci wodza, zakończona katastrofą w 1917 r., powodzenia nie miała, zostawiając jedynie głęboki ślad ciężkiej walki naszej nie tylko w duszach legionistów, lecz w znacznie szerszych kołach i kręgach naszego narodu.

Usiłowania te wiążą się ściśle z inną, może najbardziej istotną cechą całej pracy legionistów w owych czasach. Mówię tu o próbie naszej podniesienia godności narodowej i honoru polskiego. Nie ma dwóch zdań, że twarde prawo wojny z przymusem stałego ulegania musi dławić i dusić ciężko ludzi

w ogóle, lecz gdy prawo to w obcej jest ręce, poniżenie ludzi staje się najbardziej dotkliwym. Polska, będąca teatrem wojny, odczuła to poniżenie od razu z trzech stron walczących. Bo jakby to sobie chciał kto upiększyć: czy zawilym rozumowaniem i taką czy inną racją stanu, czy nagłym zamilowaniem w brataniu Słowian, czy też wdzięcznością dla sędziwego monarchy, Franciszka Józefa, pod którego opieką była Galicja najswobodniejszą częścią Polski — wszystko jedno! — prawa wojny ciążyły nad Polakami dotkliwiej, niż nad innymi, dając w skutkach upokorzenie każdemu prawie Polakowi czy Polce. Na ziemi polskiej tańczono olbrzymiego kontredansa, przy którym całe połacie polskiego kraju przechodziły z rąk do rąk raz po raz. Ludzie się zatracali w tym zmienianiu bezustannym jednego pana na drugiego. Co chwila trzeba było przystosowywać się do innych żądań, do innych wymagań i innych kaprysów. Bezsilność i bezradność ludzka, którą obserwowałem podczas tych kontredansów na ziemiach polskich, była tak krzyczącą, że nie mogę sobie wyobrazić, by najmniej czuły na godność i honor narodowy człowiek nie odczuł głębiej poniżenia ludzkiego, które czyniło z niego jakąś istotę niższego rzędu, spychaną systematycznie do błota.

Nie miałem sposobności obserwować bezpośrednio tych zjawisk po stronie wszechsłowiańskiej armii rosyjskiej. Mogłem jedynie chytać błyski nienawiści ku tej armii na Podhalu, gdzie w bojach pod Limanową tańczyłem również swego maleńkiego kontredansa i widziałem wsie i miasta, oswojone od Moskali. Przypominam sobie z wściekłością powtarzane imię jakiegoś wszechsłowiańskiego generała, hrabiego Kellera <sup>1)</sup>, który po pijanemu kazał sobie co noc sprowadzać dziewczuchy z okolic, zajmowanych przez jego dywizję jazdy. Jeszcze silniejsze i jaskrawsze błyski nienawiści obserwowałem wtedy, gdy Rosjanie przy cofaniu się z Królestwa palili wsie i sioła, pędząc ludność, jak barany, w dalekie i obce kraje. Ciekawym jest, że właśnie od tego czasu zastygł na ustach polskich zaimek «nasz», który do tego czasu stale był używany w Królestwie w stosunku do żołnierza rosyjskiego.

Zjawiska poniżenia godności ludzkiej u Polaków i zatkania się ich w ogromie wojny mogłem z natury rzeczy obserwować bliżej po tej stronie wojny, gdzie walczyły wojska

---

<sup>1)</sup> Mowa prawdopodobnie o hr. Teodorze Kellerze, gen. ros., który w czasie wojny światowej dowodził 10 dyw. kaw., a następnie III korp. kaw.; w 1918 r. pozostawał przez pewien czas w służbie hetmana Ukrainy Skoropadskiego i miał powierzone d-two obrony Kijowa przeciwko Petlurze.

austriackie i niemieckie. Rzucę przed wami, szanowne panie i szanowni panowie, kilka przykładów.

W czasie, w którym byliśmy przyczepieni do I korpusu austriackiego, składającego się przecież z 90% żołnierzy i 60% oficerów-Polaków, w okresie walk, toczonych w powiatach sandomierskim i opatowskim, otrzymałem raz pewnego od komendy tegoż korpusu rozkaz okólny. Głosił on, jak dla Polaków, cynicznie, że wojna nie toczy się wcale o polskie interesy, że zatem komenda korpusu wymaga, aby w stosunku do ludności zachowywać się jak najsurowiej, jako do ludności wrogiej, i że koniecznym jest utrzymanie autorytetu wojska, chociażby jak najdrastyczniejszymi środkami. Osobiście ten rozkaz odesłałem z oświadczeniem, że słuchać go nie będę. Lecz proszę wyobrazić sobie uczucia oficerów i żołnierzy-Polaków, którzy w Opatowskim mieli się zachowywać w stosunku do swoich rodaków jak najbardziej wrogo i surowo.

Oto obrazek drugi. W czerwcu 1915 r. z tego samego Sandomierskiego zostałem wezwany do Naczelnej Komendy austriackiej. Przejeżdżając w aucie wzdłuż etapów 1-ej armii austriackiej, skonstatowałem, że w miasteczkach polskich nakazano wszystkim mieszkańcom, nie wyłączając kobiet, schodzić z chodników na ulicę przy spotkaniu oficerów, wszystkim zaś mężczyznom zdejmować przed nimi nakrycie głowy. W Komendzie Naczelnej austriackiej zrobiłem z tego powodu awanturę i oświadczyłem, że zarówno ja, jak i moi oficerowie, zachowywać się będą odwrotnie i sami przed każdą kobietą będą schodzili z chodnika na ulicę.

Nie mogę wreszcie nie przytoczyć tu charakterystycznej odpowiedzi, którą otrzymałem raz w sztabie sławnego Hindenburga <sup>1)</sup> w Kielcach, gdy dawał drastyczne przykłady sposobu zachowania się niemieckich żołnierzy i oficerów w stosunku do ludności. Twierdziłem, że możnaby zupełnie śmiało tych szykan nie robić i nie zaczepiać np. rozmyślnie na ulicach kobiet pytaniem, gdzie tu jest dom publiczny, nie palić w piecach meblami i nie rozbijać wszystkich szkielec od lamp przy opuszczaniu wsi lub miasteczka. Wyższy oficer sztabu, z którym w tej kwestii rozmawiałem, po obietnicy wydania rozkazu, polecającego inne postępowanie, dodał filozoficznie: «Panie, gdyśmy wchodzili do Polski, byliśmy zupełnie niepewni tego, jak się ludność do nas odnosić będzie. Stąd to wahanie między środkami gwałtownymi i łagodnymi. Tym niech pan sobie tłumaczy Kalisz <sup>2)</sup>, który wobec tego, cośmy w Polsce spotkali,

<sup>1)</sup> Por. t. VI., s. 66.

<sup>2)</sup> Dn. 7 sierpnia 1914 r. Niemcy zbombardowali Kalisz pod pretekstem, że ludność cywilna wystąpiła przeciwko nim.

był zupełnie niepotrzebny. Znaleźliśmy bowiem jakieś miękkie ciało, przez które gdy przechodzimy, to na spodniach zostają tylko tłuste plamy».

To cyniczne określenie sztabowca pruskiego stało mi w pamięci przez cały czas wojny, gdy z niepokojem w duszy przyglądałem się temu, jak Polacy na zjawiska wojenne reagują, jak śmieszni muszą być w oczach tych, którzy znają prawo wojny — ze swoją bezradnością sądów, ze swoim pokornym przystosowywaniem się do każdego żądania i każdego wymagania. Nigdy nie było jednak dla mnie wątpliwości, gdy na to patrzałem, że gdzieś na dnie serc, gdzieś w ukrytych załomach duszy było uczucie głębokiego upokorzenia i jakiś stłumiony bunt przeciwko bezlitosnemu wdeptywaniu nas w błoto coraz innym butem żołnierskim.

Legioniści byli w tych czasach wyrazicielami tego buntu i to wyrazicielami jawnymi, walczącymi publicznie o szacunek dla tego, co polskie nosi imię. Nie chcę mówić o mojej walce, która, rozgrywana na terenie wyższych sztabów i wyższych dowództw, nie mogła być ani jawną, ani publiczną i wpływu bezpośredniego na ludzi wskutek tego wywierać nie mogła. Na oczach natomiast wszystkich szli legioniści naprzód, przepychając się nieledwie łokciami, szli każdego dnia — wbrew ogólnemu codziennemu upokarzaniu się — na awantury, na małe, ale liczne utarczki z obcą zaborczą ręką w obronie swojej godności, jako żołnierzy polskich.

Ileż takich drobnych scen staje mi w pamięci, gdy o tym mówię! Ileż śmiesznych, komicznych epizodów tej walki przeżyć musiał nieledwie każdy legionista w tych czasach, gdy nosił mundur, świadczący o tym, że jest Polakiem i pod polskimi godłami i znakami chce służyć!

Któż z tych, co w końcu września 1914 r. byli ze mną nad Wisłą, pod Nowym Korczynem i Opatowem, nie wspomina tej zabawnej sceny, gdy przybyła z Krakowa kompania uzupełniająca topiła w Wiśle czarno-żółte opaski, w które ją ubrano przy opuszczaniu Krakowa? Wstydem bowiem było u nas nosić jakąkolwiek oznakę, przypominającą mundury Austriaków czy ich kolory. Ileż to walk stoczono z tymi oznakami! Ileż było starć publicznych na dworcach kolejowych, na ulicach miast z powodu bezprawnego jakoby noszenia czy to naszych własnych oznak na mundurach, czy naszych własnych gard przy szablach, czy wreszcie, co się najczęściej zdarzało, z powodu oddawania honorów nie całą dłonią, lecz tylko dwoma palcami! Codzienną walkę, widoczną dla oczu wszystkich, toczyli legioniści o najmniejszy drobiazg, o polskie słowo

komend, o głośne polskie rozmowy pomiędzy sobą w miejscach publicznych, o otwarte demonstrowanie wspólnoty swojej z otoczeniem polskim, o jawne szanowanie polskich zwyczajów, o odwet za próby obrażania tego, co polskie. Legioniści robili sobie z tej walki sport, przekraczający nieraz granice zwykłej przyzwoitości, szukali często sami publicznej zaczepki. Stali się przez to głośnymi we wszystkich urzędach, szczególnie etapowych, i znosić musieli z tego powodu całe mnóstwo szykan. Odpowiadali na nie hardo, wyszukiwali specjalnie obraźliwych słów, by wykazać swoją wzdargę dla tych ukłuc.

Walka ta nie mogła być niewidoczną dla ludzi. Nie mogła również nie dawać pewnej dozy satysfakcji zdeptanemu uczuciu honoru i dumy narodowej. I nieraz, gdy o tym myślę, przychodzę do przekonania, że ta hardość w pracy, noszącej zewnętrzne cechy pracy polskiej, była podstawą tego niezaprzeczonego faktu, że w końcu 1916 r. i do połowy 1917, gdy Legiony stały postojem na ziemi ojczyściej, miały niezaprzeczoną szeroką popularność i coś w rodzaju sentymentu dla siebie w obu okupacjach: niemieckiej i austriackiej. Osobiście odczuwałem ten stosunek zupełnie jasno i wyraźnie podczas swego pobytu w Warszawie, zakończonego aresztowaniem i wywiezieniem do Magdeburga.

Uczucia te zjawiały się wszędzie, gdzie tylko legioniści stanęli kwaterą. Szli oni tam tak jaskrawo w poprzek zarządzeniom władz okupacyjnych, tak śmiało i hardo przekraczali rozmyślnie przepisy, ciężące nad całą ludnością, tyle czynili złośliwości, z tak niezrównanym humorem wykpiwali publicznie robotę austriacką i niemiecką, że doprawdy nieraz oczekiwałem, iż nastąpić musi jakieś krwawe starcie, przy którym część ludności wesprze legionistów przeciwko władzom okupacyjnym. Odczuwali te tlejące iskry dokładnie niektórzy z legionistów, gdy w okresie t. zw. kryzysu przysięgowego, w r. 1917, proponowali mi, jak rzecz według nich możliwą, by siłą oprzeć się wszelkim próbom narzucania nam przysięgi. Twierdzili przy tym, że niechybnie będą podtrzymani w tym wypadku przez wszystkich włościan okolicznych.

Szanowne panie i szanowni panowie! Starłem się w przedciągu dzisiejszego swego przemówienia wyświetlić najistotniejsze cechy t. zw. czynu legionowego. Chciałem oswobodzić się od wszystkich domieszek i dodatków, wytworzonych w przedciągu ubiegłych dziesięciu lat zarówno przez tych, którzy niechętnie do nas się odnosili, jak przez tych, którzy ten czyn wyolbrzymiają i przesadzają jego znaczenie.

Być może uraziłem niektórych ze swoich słuchaczy, usu-

wając na bok w tej analizie pierwiastki uczuciowe. Uczyniłem to jednak rozmyślnie, gdyż nie mam zamiaru nigdy twierdzić, że my, legionieści, i ci, którzy nas kochali, mają wyłączne prawo do miłości ziemi ojczystej, lub, jak to się często mówi, do tytułu ofiarności. Polska bowiem i Polacy ponieśli podczas wojny tyle ofiar, składanych nieraz z wielką goryczą w sercu, że wobec ich ogromu drobnostką były nasze ofiary legionowe, opłacane przy tym wielką nagrodą, bo wewnętrzną satysfakcją.

Wywody moje, które panom w tym przemówieniu dałem, są owocem częstych moich rozważań i rozmyślań nad pracą moją i pracą kolegów, podjętą w epoce, gdy Polska dopiero się stawała, gdy się odwracało wielkie koło historii, które ongiś nas w błoto niewoli wgniatało.

Streszczam swe myśli. Polska i olbrzymia większość Polaków wojny nie chciała, wojny nie wywołała i świadomą była tego, że ona nie o Polskę się toczy. Nie mając samodzielnego przygotowania do wypadków wojennych, Polacy uczynili przy wybuchu światowej katastrofy to, co czynili już dobre półwiecze w życiu codziennym — poddali się nakazom zaborców, wzmacniając w ten sposób siły każdego z nich. Niewielka garść ludzi, zwanych legionistami, zdecydowała postąpić inaczej. Chciała dać Polsce podczas wojny reprezentację w postaci polskiego żołnierza i polskich dla niego dowódców. Wskutek naturalnej niechęci i oporu ze strony zaborców, wskutek ogólnego niedowierzania, by zamiar ten mógł być zrealizowany, — próba udała się tylko w części. Stan ten musiał doprowadzić do silnych tarć, przy których my, legionieści, walcząc nieustannie o swoje cele, staliśmy się najjaskrawszym wyrazem obrony honoru i dumy narodowej wobec systematycznego wgniatań nas w błoto przez maszynę wojenną wszystkich trzech zaborców. Dlatego też, pomimo, iż ulegliśmy w walce, mamy za sobą tę wielką satysfakcję, żeśmy pierwsi w Polsce zaczęli żyć życiem wojska polskiego i przy powszechnym poniżeniu Polaków mieli spokój co do swego honoru i częste zadośćuczynienie dumy i godności narodowej.

Niech mi wolno będzie na zakończenie dodać słów parę o dziwacznej, tak często wypowiedzanej, a głęboko dla mnie zabawnej opinii o czynie legionowym. Jest ona związana z nadzwyczajnie śmiesznym interpretowaniem słowa «romantyczny». Nie wiem doprawdy, czy ten przymiotnik nie był istotnie najczęstszym, najbardziej używanym określeniem w stosunku do naszej pracy w społeczeństwie polskim. Powiadam, że wydaje mi się to niesłychanie śmiesznym. Słowo to przecież oznacza właściwie pewien okres w dziejach literatury całego świata;

okres ten wszędzie, a więc i u nas, wydał ludzi, którymi się chlubi każdy naród. Każde dziecko zna nazwisko Adama Mickiewicza. Mnóstwo miast ma jego pomniki, każde bodaj miasteczko ulicę, ochrzczone jego wielkim imieniem. Lecz u nas, po upadku powstania 1863 r., słowo «romantyczny» nabrało jakiegoś dziwnego charakteru, zaczęło oznaczać po prostu «głupi».

Ze śmiechem zawsze myślę o tych nieromantycznych tatach, którzy napędzają dzieci do klepania na pamięć wierszy «romantycznego» wielkiego poety. A iluż to śmiesznych pismaków, używających słowa «romantyczny» po prostu jako «głupi», pękłoby z radości i dumy, gdyby ktokolwiek trzepał tak na pamięć ich piśmidła, jak dzieci nasze polskie mówią na pamięć utwory «romantycznego» Mickiewicza.

Lecz chcę ustąpić opinii polskiej i używać słowa «romantyczny» jako «głupi». Jest zwyczajem nazywać grzecznie «romantycznym» tego, komu się coś nie udało. Jest zwyczajem, żeby człowieka niepraktycznego, który zabłądzi choćby w trzech sosnach, który drogi żadnej znaleźć nie potrafi, mienić nie głupim, lecz «romantycznym». «Romantyczny» to coś w rodzaju małego, niezdarnego dzieciaka, który, siedząc na rękę matki, niepraktyczne, niepewne rączki wyciąga po jakąś błyskotkę, i ku wielkiemu swemu zdziwieniu nie ją chwyta, a np. kosmyk włosów matki!

I takim właśnie romantycznym dzieckiem mieliśmy być my, legionieści. Jakież to zabawny sposób krytyki, świadczącej chyba tylko o głębokiej nieudolności myślenia! Czegoż chcieli legionieści? Po co wyciągali oni nieudolne, dziecinne rączki? Chcieli dać Polsce żołnierza. Powiedzmy, chcieli błyskotki. Wyciągali jednak rączkę tak zręcznie i tak umiejętnie, działali tak praktycznie, tak trafnie dobierali odpowiednich środków, że pomimo przeszkód, stawianych im w tym nie tylko przez zaborców, lecz i przez «nieromantycznych» Polaków, — błyskotkę tę mieli w rękę! Ba, powiedzieć nawet można więcej! Zdołali pomimo wszelkich trudności dać w dziedzinie wojskowej imiona, którymi Polska może się szczycić.

Porównajmy tę praktyczną, umiejętną pracę Legionów z pracą ich krytyków. Z pracą tych «nieromantycznych»! Chcieli oni, siedząc na rękę matki — państw zaborczych — mieć w nieromantycznej rączce nie głupie błyskotki, lecz praktyczny kosmyk włosów matki. Czyż go mieli i mają? Czyżby więc nie czas było, zamiast wzruszać ramionami na «romantyczne», a zatem głupie główki legionistów, pomyśleć o własnej «romantyczności» i głupocie. Czyżby nie czas było pomyśleć

o swojej nieumiejętności orientacyjnej, która w 1914 r. zmusiła szanownych krytyków do błędzenia pomiędzy trzema sośnami zaborczymi, do czepiania się każdej z nich po kolei i do tracenia często przy tym dużo zdrowia moralnego.

Szanowne panie i szanowni panowie! Kończę, prosząc zawsze o jedno. Spróbujmy spokojnie odnieść się do faktów, które się działy ongiś. Spróbujmy sobie spokojnie powiedzieć: grzechy, zrobione przy wybuchu wojny przez wielu Polaków, głupota, ongiś przez nich wykazana, nie upiększają, być może, historii naszej ojczyzny, — działo się to jednak tak dawno, a my sami przeżyliśmy tyle zmian, że doprawdy nie warto o tych wypadkach tak dużo kłamać. Nie warto na nasze polskie imię narzucać tyle fałszu i tyle bezecnego łgarstwa, aby, jak to mi niegdyś mówił jeden z wielkich ludzi tego świata, Polak i łgarz było zwyczajnym synonimem. Nie warto pracować tak usilnie fałszem, aby słowom i określeniom polskim nie chciano nigdzie dawać wiary. Na nasz czyn legionowy narzucono nie wiadomo daczego tyle śmieci, tyle brudu i tyle kłamstwa, tylu ludzi pragnęło być «auch ein wenig»<sup>1)</sup> legionistami, jak gdyby chciano ciągle i dalej stwierdzać, że byłoby najlepiej dla Polski, gdyby w niej nie było ani jednego wyjątku i wszyscy Polacy w chwili, gdy godzina dla nas na dziejowym zegarze biła, poddali się bez zastrzeżeń woli, nakazowi, żądaniom i nawet kaprysom swoich zaborców. Czyż nie dosyć tej dziwnej namiętności do poszanowania czasów niewoli — niewoli, upokarzającej Polaków i Polskę?

### LIST DO REDAKTORA «POLSKI ZBROJNEJ»

(25 sierpnia 1924)

*Na trzecim walnym zjeździe legionistów w Lublinie dnia 10 sierpnia 1924 została uchwalona rezolucja, w której zjazd «domaga się od Prezydenta Rzeczypospolitej, jako najwyższego zwierzchnika wojskowego, i od rządu, w szczególności zaś ministra spraw wojskowych, generała Sikorskiego, podjęcia inicjatywy, która zapewni Józefowi Piłsudskiemu należne stanowisko w państwie».*

*Odpowiednie depesze zostały uchwalone i wysłane do Prezydenta Rzeczypospolitej Wojciechowskiego, prezesa Rady Ministrów, Władysława Grabskiego, i ministra spraw wojskowych, gen. Sikorskiego.*

*Odpowiedzią niejako na tę rezolucję była opublikowana w «Polsce Zbrojnej» z 24 sierpnia 1924 i powtórzona w innych pismach następująca enuncjacja:*

<sup>1)</sup> Także po trochu.